

Pomysł na życie.

Mucha beztrąsko wędrowała po suficie. Chodząc chaotycznie weszła w cień rzucany przez żyrandol. Patrzyłem na nią wciąż mając w myślach żywe wspomnienia z dzieciństwa. Podniosłem głowę z poduszki i już od tego minimalnego ruchu zaskrzypiała stara kozetka.

- A więc jak Pan widzi, Pana problemy spowodowane są tym, że nie ma Pan pomysłu na życie.

- No a praca i rodzina? – odezwałem się.

- Etam. Co to za pomysł? Pan potrzebuje czegoś wyjątkowego – stwierdził psychoanalityk. – Czy zrobił Pan w życiu coś naprawdę wyjątkowego? – zapytał patrząc mi głęboko w oczy.

Zamyśliłem się i w jednej sekundzie przeskanowałem swoją pamięć w poszukiwaniu takiego zdarzenia.

- No nie – odparłem szczerze.

- A więc widzi Pan. Teoria się potwierdza – psychoanalityk usiadł za biurkiem i zaczął wypisywać paragon. Sięgnąłem po portfel i wyjąłem z niego sto złotych. Położyłem je na blacie biurka starając się ułożyć tak aby ukryć dziurę w rozdartym buciku. Kiedy się ma ograniczony budżet, trzeba wybierać albo buty albo terapia...

- Dziękuję – rzekł krótko psycholog. – W tym tygodniu będzie Pan miał zadanie domowe: Proszę się zastanowić i przyjść z dobrze przemyślanym pomysłem na życie.

- W porządku. Coś wymyśle - odparłem wstając z kozetki.

Psycholog otworzył kalendarz.

- Czyli widzimy się za tydzień o tej samej porze?

- Tak – potwierdziłem zbliżając się do drzwi.

- W takim razie niech Pan zadba o siebie i dobrze się zastanowi nad tym pomysłem.

- Na pewno coś wymyśle. Do widzenia.

- Do widzenia.

* * *

Idąc ulicą zastanawiałem się na tym co powiedział mi psychoanalityk. Nie zawsze się z nim zgadzałem, ale może w tym wypadku miał rację? Faktycznie, jaki ja mam cel w życiu? Idę do pracy bo wiadomo, że trzeba zarabiać na utrzymanie a później wracam z pracy do domu bo gdzieś trzeba mieszkać. Faktycznie, gdyby się tak temu bliżej przyjrzeć to okazuje się, że wiodę takie zwykłe życie z dnia na dzień jak jakiś cygan albo koczownik. Chociaż nawet Cyganie, a dokładniej tabor cygański zmierzał w jakimś kierunku, czyli miał wytyczony cel.

Po tych przemyśleniach poczułem się gorszy od cygana! Ta terapia zdecydowanie mnie dołowała! Chociaż zaraz... Przecież psychoanalityk nic nie mówił o cyganach! Samemu mi to przyszło do łba. Co ja się go tak czepiam? Ale to przecież on mnie naprowadza na takie myślenie. Gdybym nie miał dziś spotkania, to na pewno nie porównywałbym się do jakiegoś cygana i nie czuł się gorszy. No to jest jakieś kuriozum! Chodzę na terapie, płace i jeszcze się dołuje. Wszystko przez psychoanalityka i cyganów!

Stop! Zabrnąłem za daleko w rozumowaniu. Ustalmy pewniki. Należy się wzorować na ludziach szczęśliwych. Skoro są szczęśliwi to znaczy, że realizują jakiś sensowny i przynoszący im radość cel w życiu. Wystarczy takowych zatem poznać i zapytać jaki mają cel. Być może to co nadaje sens ich życiu okaże się dobre też i dla mnie? Postanowiłem zatem obserwować ludzi i zapoznać się z tymi, którzy są szczęśliwi aby wypytać ich o źródło swojego szczęścia.

Ale wcale nie było to takie łatwe. Idę ulicą i wkoło widzę same zasepione gęby. Ech Polska! Nie żyje się łatwo w tym kraju. Ludzie ledwo wiążą koniec z końcem więc z czego się tutaj cieszyć? Kiedyś widziałem w telewizji radosną i szczęśliwą rodzinę gdzieś w Indiach. Mieszkali w domkach ze szmat zamocowanych do belek i byli szczęśliwi. A tutaj ludzie mają mieszkania i chodzą tacy przygnębieni. Chyba za dużo biorą sobie na łeb...

Nagle wśród smutnego tłumu wyłania się twarz jasna, promienna, uśmiechnięta, opalona, zadowolona! Przyglądam się baczniej i widzę, że to jakiś robotnik stojący nad wejściem do kanału. Rozmawia ze swoimi kolegami uśmiecha się i szykuje do zejścia w dół. Sprawa jest oczywista – skoro ma tak brudną robotę i jednocześnie jest taki zadowolony to znaczy że ma sensowną receptę na życie. Musiałem się z nim skontaktować i dowiedzieć, co czyni go tak szczęśliwym z życia mimo tak wyjątkowo brudnej roboty.

Podkscytowany poszedłem więc w jego stronę. Lecz co widzę: ten zaczyna schodzić do kanału! Dzieli mnie do niego jeszcze jakieś kilkanaście metrów. Robotnik całkowicie znika we włazie do kanału. Nie odpuszczę! Moja recepta na szczęśliwą przyszłość znika z pola widzenia! Biegnę, roztrącam robotników i daję nura w dół do cuchnącego kanału. Biała koszula w jednym momencie zostaje całkowicie upaprana. Pal to lichu! Recepta na szczęście jest najważniejsza. Musze dopaść tego drania!

Widzę mój cel! Idzie przede mną kanałem świecąc przed siebie latarką.
- Panie! Zaczekaj pan! – wołam za nim.
Robotnik zaskoczony zatrzymał się.
- Człowieku! Po co żeś tutaj wlaź? – zapytał świecąc mi po oczach latarką.
Zasłoniłem się ręką przed światłem.
- Nie świeć pan! – Zaprotestowałem. – Ano wskoczyłem tutaj, bo pan taki wyjątkowo szczęśliwy a ja piszę artykuł o ludziach zadowolonych z życia. I chciałem się zapytać co czyni pana takim szczęśliwym? No bo przyzna pan szczerze, że ta akurat robota do najprzyjemniejszych nie należy.
Dla robotnika wszystko stało się zrozumiałe.
- Aha, to będę w telewizji, albo w gazecie? – zapytał zafrapowany.
- Tak – skłamałem.
- A co mnie może czynić szczęśliwym? Walimy codziennie wódę u szwagra w sadzie. Więc może w kanałach cuchnie, ale w za to w sadzie pachnie. Jest wesoło i leje się wódeczka, a jak nie ma to bimberek. Ot i cała filozofia.

- A czy ja mógłbym dla próby z wami przez jakiś czas tak pożyć? To znaczy nie chodzi mi o robotę ale te popijawy w sadzie?

- Z kamerą? – zaniepokoił się.

- Nie. Bez kamery.

- To weź pan flaszkę i spotkamy się naprzeciw poczty dzisiaj o ósmej wieczorem,

- No dobra, to będę!

Pożegnałem się z robotnikiem i wyszedłem z kanału. Robotnicy przy włączaniu popatrzyli na mnie z zaniepokojeniem.

- Pan z jakiejś kontroli? – zapytał jeden z nich.

- Tak. Z Najwyższej Izby Kontroli – odparłem z głupia frant.

Koszulę i spodnie miałem mocno zabrudzone. Wstyd było jechać komunikacją miejską. Do domu wróciłem taksówką siedząc na rozłożonych na siedzeniu gazetach. To był w sumie dobry dzień. Ciuchy się wypierze a recepta na szczęście jest na wyciągnięcie ręki.

* * *

Wieczorkiem kupiłem flaszkę w i poszedłem przed pocztę. W tej niewielkiej mieścinie był tylko jeden urząd pocztowy i nie było mowy o pomyłce. Zeszliśmy się idealnie ja z prawej on z lewej. Ale prawie nie poznałem człowieka: wcześniej w brudnym ubraniu roboczym umorusany, a teraz czyste spodnie do kanta, wyprasowana koszula, pachnący wodą kolońską. Uśmiechnął się do mnie i zawołał:

- Witam, panie redaktorze! Myślałem, że pan nie przyjdzie, że to tylko taki pic na wodę!

- Jaki pic? Do sprawy podchodzę poważnie. O tu jest flaszką – rozchyliłem reklamówkę.

- Sobieski. Literek. Dobra wódka! - rzekł z uznaniem zerkając do środka. – Widać, że z pana swój chłop bo można było wziąć coś tańszego jakąś ruską. Ale widzę żeś pan honorowy!

- Jaki tam pan. Rysiek jestem – przedstawiłem się.

- Ja Marian.

Ruszyliśmy przed siebie.

- Szwagier tutaj niedaleko mieszka. O zaraz za rogiem. Oni już tam walą od szóstej!

Mój nowo poznany kolega - Marian poszedł przodem i zaprowadził mnie do parterowego domu na rogu ulicy. Okna były otwarte i dochodził stamtąd gwar rozmów i śmiech. Weszliśmy do środka. W pokoju siedziały jakieś stare babcie.

- Dzień dobry! – powitał się Marian. – Romek w altanie?

- Ta chleją tam cały czas – zaskrzeczała jakaś staruszka.

Marian kiwnął na mnie ręką i przeszliśmy przed dom. W sadzie rzeczywiście ładnie pachniało. Rosły tutaj jabłonie, czereśnie śliwy. Jedno drzewko obok drugiego. Widać też było altankę z której dochodziły odgłosy libacji. Przeszliśmy szybko przez sad i wkrótce znaleźliśmy się w altanie. Siedziało tam czterech mężczyzn w wieku około pięćdziesięciu lat. Na nasz widok ucieszyli się.

- Witajcie! Siadajcie i pijcie z nami! - Zawołał jeden z nich.

- Marian, a ten twój kompan to co to za jeden?

- To kolega z firmy – popatrzył na mnie porozumiewawczo. – W biurze, w administracji robi.

- Moja żona też robi w administracji – odezwał się jakiś brodac.- Non stop przed komputerem i w papierach. Nie dla mnie robota, bo nie mam cierpliwości Wolę łopata machać.

Rozległ się ogólny szmer aprobaty.

- W biurze to nuda – potwierdziłem. - Nic się nie dzieje. Wyjąłem butelkę z reklamówki i położyłem ja na stoliku.

- A i zachować się potrafi – pochwalił brodac. – To co? Polewamy?

- Polewamy.

Otworzyłem wódkę i rozlałem do kieliszków.

- No to siup w ten głupi dziób! – zawołałem

- Zdrowie na budowie!

- Zdrowie!

I tak zaczęły się popołudniowe libacje. W dzień praca a wieczorem picie u Mariana w sadzie. W końcu pewna sąsiadka poskarżyła się na policji. Razu pewnego wkroczyła ekipa mundurowych i przerwała nam imprezę. W zemście rozlaliśmy starej babie walerianę na progu chałupy i koty zaczęły się schodzić całymi stadami. Stary wypróbowany sposób. Miauczały w niebogłosy tak, że zagłuszały naszą libacje. Ot i sąsiadka chyba usatysfakcjonowana, że już nas nie słyszy.

Już po trzech dniach nastrój zdecydowanie mi się poprawił. Nawet do tego stopnia, że stwierdziłem, że kończę z prochami antydepresyjnymi. Zresztą to nawet niezdrowo łączyć je z alkoholem. Nasze wieczorne popijochy działały na mnie lepiej niż tabletki i terapia pomnożone razy dwa. No a szczególnie jak ten brodac – Heniek przytargał akordeon. Wtedy to już naprawdę było wesoło. Śpiewaliśmy na głosy pieśni i biesiadne i ludowe i takie jakby to powiedzieć – podhalańskie. Na przykład:

*Hej bystra woda, bystra wodzika
Pytało dziewce o Janicka*

Raz nawet śpiewaliśmy piosenki wojskowe. Ot chociażby:

*Przybyli utani pod okienko
Przybyli utani pod okienko
Stukają pukają puść panienko
Stukają pukają puść panienko.*

Zdaje się, że to nawet było właśnie wtedy policja przyjechała do tej zdewociałej sąsiadki...

Jako, że ze mnie pracownik biurowy, próbowałem wnieść nieco kultury do całego towarzystwa. Zaproponowałem, że kiedy Heniek nie gra, ja będę recytował wiersze. No i razu przyniosłem Iliadę. Czytam i wiedzę, że towarzystwo ziewa, patrzy na mnie takim niechętnym wzrokiem. Myślę – „literatura obca to i reakcja niechętna”. Jak to mawiał Nokoś Dyzma: „Lubię to co polskie, co nie jest polskie mi szkodzi”. Przyniosłem więc Pana Tadeusza, ale i to na nic. Powiedziałbym nawet, że jeszcze gorzej. Musiałem zmienić taktykę w kwestii animowania kultury. Kupiłem dobrą wódkę „Chopin”.

Następnym razem polecił się „Sobieski”, który jak zwykle pokonał wszystkich i całe towarzystwo położył pokotem na ziemi. Takich mamy naszych polskich królów – już dawno nie żyją a wciąż zwyciężają!

A zamiast poezji czytałem dowcipy o znanym rosyjskim hulace - poruczniku Rzewskim:

Pewnego razu w pociągu porucznik Rzewski zdjął skarpety i powiesił na wieszaku.

- Czy pan, panie poruczniku - spytał go współpasażer - wymienia czasami skarpetki?

- Z góry uprzedzam - tylko na wódkę!

Wieczór, pusta biblioteka akademii wojskowej. Na stołach w nieładzie leżą książki. Idzie kierownik akademii i myśli:

"A może tak zobaczę co czytają moi oficerowie?"

Na stole księga "Cytaty starożytnych"

Generał:

"O, Qu!! Ale ich ciągnie do nauki!"

Otwiera na przypadkowej stronie:

"Do jednej rzeki nie da się wejść dwa razy" (Konfucjusz)

Niżej dopisane krzywymi literami:

"Tym właśnie rzeka różni się od baby" (Rzewski)

Polubiło mnie za to nasze małe, ale bardzo wesołe grono. Niestety jak to bywa kij ma zawsze dwa końce bo o ile w życiu prywatnym układało się wyśmienicie, o tyle jednak w pracy już znacznie gorzej. Przeciągane w długą noc popijochy negatywnie odbijały się na efektach pracy. Ciągły kac, spóźnienia, kłótniwość i agresja wobec współpracowników, drażliwość, kłótnie z klientami. Raz wyszedłem na moment i nie było mnie cztery godziny. Zaczęli mnie szukać i znaleźli śpiącego w toalecie. Zlokalizowali mnie po głośnym chrapaniu. Wówczas dostałem pisemną naganą.

Prawdę powiedziawszy nie przejąłem się tym zbyt, gdyż na wskutek intensywnego, życia prywatnego praca stała się tak jakby zaledwie małym dodatkiem w planie dnia. Taką przekąską. Natomiast obiadem były wieczorne libacje. Piłem już drugi tydzień. W sumie nie wiem już nawet za co, gdyż gotówka skończyła się już dawno. Nie zaopatrywałem się w sklepie, ale na mecie. Nie kupowałem wódki, ale zwykły bimber. Królowała wymiana barterowa i tak z każdym dniem w moim mieszkaniu było co raz mniej mebli. Spałem na podłodze, myłem się w sadzawce albo wodzie z rynny. Wymieniłem na flaszkę maszynkę do golenia i broda zaczęła mi rosnąć aż na piersi. Kiedyś przejrzałem się w kałuży wody i stwierdziłem, że wyglądam jak mormon. O psychoanalityku zapomniałem całkiem. Opuszczałem terminy wizyt jeden po drugim. Wydaje mi się, że całkowicie straciłem poczucie czasu.

Razu pewnego przypomniało mi się, że już dawno nie byłem w pracy. Kierowany pijackim poczuciem obowiązku przyszedłem do firmy pół godziny przed czasem. Ale ochroniarz nie chciał mnie wpuścić. Wygonił mnie drań! Nie poznał mnie! Wyszedłem przed budynek i przyjrzałem się swemu odbiciu w szybie. Boże drogi, wśród tych eleganckich ludzi wyglądałem jak jakiś żul!

O! Idzie Rysio! Spóźniony piętnaście minut. Standartowo. Macham do niego. Patrzy w drugą stronę. Też mnie nie poznaje. A taki był z niego dobry kolega! Tyle piw razem w knajpie wypiliśmy. Ale dalibóg, kiedy tak patrzę na swoje odbicie to sam siebie nie poznaję. Nie przypominałem samego siebie sprzed dwóch tygodni. Jakies żółte liście przyklejane do kurtki... Zaraz jak to żółte liście?! Potoczyłem wzrokiem dookoła, na drzewa rosnące przy ulicy. Faktycznie przecież to już jesień! Jesień! A przecież poznałem Mariana na wiosnę! A więc to nie dwa tygodnie, ale już pół roku minęło... Niebawem, jak ten czas leci. Zaskoczony tym spostrzeżeniem powlokłem się do domu.

Czułem się tak jakbym odbył podróż w przyszłość. Musiałem się napić. Definitywnie! Nie wiedziałem tylko co wymienię na bimber bo mieszkanie było już puste. Gołe ściany. Ale zaraz, zaraz... Przypomniało mi się, że ktoś tam był chętny na podłogę. Ech parę desek się wyrwie i już jest na szczeniaczka. Po co mi podłoga? Beton i tak równy.

Jednakże wszystko ma swój koniec. Przyszedł kres także i moim libacjom. Kiedy przepite już zostało wszystko co miało jakakolwiek wartość, a na melinie napis nad drzwiami głosił „Kredyt umarł i nie żyje kto nie ma kasy ten nie pije!” skończył się wielce wesoły okres pijacki. Parę razy przyszedłem do sadu i piłem razem z kolegami. Teraz już nawet braćmi, ale głupio tak było z pustymi rękoma przychodzić i czyjaś wódkę pić. Stwierdziłem, że żal mi rozstawać się z tym towarzystwem i będę nawet zbierał butelki, puszki i makulaturę żeby tylko mieć na flaszkę. Ale szybko okazało się, że to taka mrówcza robota. Za kilogram makulatury płacili w skupie tylko 20 groszy, za puszkę 7 groszy. Butelek znalazłem cztery i na skupie dostałem za nie złoty pięćdziesiąt. No to Panie dzieju, gdzie tu jeszcze do flaszkii?!

Skończyły się libacje. Wróciła depresja a tutaj w portfelu ani grosza na leki. Żeby dostać receptę trzeba pójść do lekarza, a wizyta kosztuje okrągłą stówę. Zresztą nawet zapomniałem jak wyglądają pieniądze. Ostatnio wszystkie transakcje były barterowe. Wówczas z całą świadomością wróciły do mnie bolesne myśli a do tego doszły jeszcze nowe. Brak pracy, ani grosza przy duszy, mieszanie ogołocone, w brzuchu burczy z głodu. I co tutaj robić w takim wypadku? I kto mnie doprowadził do takiej sytuacji? Psychoanalitik! Przecież to on stwierdził, że moje życie nie ma sensu, że żyje z dnia na dzień bez pomysłu co ze sobą począć. Przez niego poznałem przecież tego robotnika z kanałów i przepiłem cały majątek. Przez niego straciłem prace i wylądowałem na marginesie! A przecież tak wspaniale mi się wcześniej żyło – praca, koledzy, koleżanki, lodówka pełna żarcia, kosmetyki, książki, telewizja. Wszystko to rozpadło się łatwo jak domek z kart!

Ponieważ mój stan pogarszał się jednak z dnia na dzień, postanowiłem pójść do psychoanalitika na kredyt. Zapłacę jak będę miał. Zadzwoiłem do niego, zaproponowałem i zgodził się. Na drugi dzień o dziewiętnastej stałem pod drzwiami jego gabinetu. Minęło sporo czasu od kiedy wiedzieliśmy się ostatnio. Będzie o czym opowiadać. Otworzył mi drzwi ze swoim zawodowym, miłym uśmiechem. Wyciągnął do mnie rękę na powitanie. Zamachnąłem się i bach! Walnąłem go ręką w twarz aż

trzasnęło. Zatoczył się, uderzył plecami o ścianę i osunął na podłogę. Spojrzał na mnie z przerażeniem i zasłonił głowę rękoma.

- To wszystko co miałem dzisiaj do powiedzenia doktorze – oznajmiłem. – A stówę przyniosę jak będę miał!

- Ale za co?! O co chodzi?! – wołał zdumiony.

Odwróciłem się i bez słowa zeszedłem w dół po schodach. „Co za idiota” pomyślałem. Doprowadził mnie do takiego stanu i jeszcze pyta o co chodzi! Przez niego całe życie zmarnowane! Miałem takie fajne życie a ten mi mówi, że jest do niczego! Więc je zmieniłem i popadłem w ruinę zdrowotną i finansową. Więc jak takiemu nie dać w pysk? Powinien mi nawet wypłacić odszkodowanie i zwrócić całą kasę wpompowaną w terapię. A na pewno nazbierało się tego ze dwadzieścia tysięcy przez ostatnie dziesięć lat.

Kiedy schodziłem po schodach zaczepił mnie szczupły mężczyzna z krótko przystrzyżonym wąsikiem. Położył mi rękę na ramieniu i rzekł.

- Potrzebuje gościa, który potrafi przywalić jak pan! – Rozejrzał się dookoła i dodał.- Widziałem jak żeś go pan załatwił! Chcesz pan zarobić?

- Fakt, faktem że ostatnio groszem nie śmierdzę, ale jeśli mam lać dla forsy to się na to nie piszę! – Odpowiedziałem stanowczo. Sądziłem, że chcą mnie zwerbować do jakiejś firmy windykacyjnej.

- Nie no skądże, panie. Nie chodzi o to, żeby lać permanentnie, ale mieć raketę w ręce bo może się zdażyć, że trzeba dać gościowi w pysk.

- Aha, no chyba, że tak. W sumie dla zdrowia psychicznego czasem nawet trzeba – zgodziłem się.

- Świetnie! W takim razie bądź pan jutro o dwudziestej pierwszej na Długiej siedem.

- Na Długiej siedem? – Powtórzyłem.

- Tak. Obgadamy szczegóły.

Pożegnałem się z chudym jegomościem i wróciłem do domu. Po drodze trochę myślałem o psychoanalityku. Poleciał na ścianę jak belka słomy. Mam nadzieję, że łba sobie nie rozwalił bo jeszcze wyląduję w kryminale.

Prędko jednak zastąpiłem te myśli bardziej pozytywnymi. Jutro idę na rozmowę w sprawie pracy. Może nawet się nadam? Byłoby wspaniale mieć własną kasę i pracę. Pierwszy raz od pół roku.

Ale ta późna pora spotkania, fakt że czasami trzeba komuś dać po mordzie, to wszystko pachniało mi półświatkiem. Pieniądze jednak nie śmierdzą takie czy inne. Żołądek przywiera do pleców, dom cały już ogołocony a żyć jakoś trzeba..

Następnego dnia punktualnie o godzinie dziewiętej wieczorem pojawiłem się pod rzeczoną adresem. Prawdę powiedziawszy nawet nie specjalnie się przygotowałem do tego spotkania. Jedyne co zrobiłem to przeczyściłem ścierką buty.

Czerwone firanki w oknach potwierdzały, że przeczucie mnie jednak nie myliło. Nacisnąłem dzwonek.. Drzwi otworzył barczysty mężczyzna w garniturze. Z tyłu za nim na moment mignęła skąpo ubrana panienka. Burdel. Widać to już na pierwszy rzut oka.

- Pan zapewne do Romana? – zagadnął barczysty mężczyzna.

- Byłem umówiony na dziewiątą.

- To proszę za mną.

Wszedłem na korytarz a później po schodkach na górę. Ochroniarz pchnął drzwi do małego pokoiku. W środku siedział ów szczupły mężczyzna, którego poznałem wczoraj.

- Siadaj pan – wskazał na krzesło.

Usiadłem i rozejrzałem się dookoła. Żadnych gołych bab na ścianach. Profesjonalista – pomyślałem z uznaniem.

- Będziesz pan alfonsem – rzekł Roman prosto z mostu. – Trzeba ochraniać dziewczynę na wyjedzie u klienta.

- A jakie są zarobki?

- Pięćdziesiąt złotych za każdy kurs.

- Ile kursów dziennie?

- Od trzech do sześciu – Roman wyciągnął papierosa i zapalił. – W weekendy więcej.

Jeszcze pół roku temu pracując jako księgowy w firmie ubezpieczeniowej w życiu bym nie pomyślał, że będę kiedyś pracował jako alfons. Teraz jednak, gdy kiszki grały marsza nie czas było na moralne roztrząsanie. Biznes stary jak świat. Jeszcze nie było demokracji a burdele już stały.

- Propozycje przyjmuje! – odrzekłem krótko. – Od kiedy mam zacząć?

- Od dzisiaj! – brzmiała odpowiedź.

- Od dzisiaj? – zdziwiłem się. – Nie jestem psychicznie przygotowany.

- A do czego tu się przygotowywać? Jak klient nie zapłaci to prosisz pan grzecznie trzy razy a jak nie skutkuje to w mordę jak tego tam wczoraj

- Aha – odburknąłem

- Ale nie lej pan za mocno bo drugi raz już nie zadzwoni. W końcu to jest klient.

- No dobrze, dobrze – zbierałem myśli. Wszystko działo się zbyt nagle.

- Mamy teraz kurs na Pragę na dziesiątą. Jedziesz pan? – Roman wlepił we mnie spojrzenie.

- Jadę! – potwierdziłem.

- Dobra. Ochroniarz panu wytłumaczy co i jak.

Wyszedłem na korytarz. Barczysty jegomość skinął na mnie ręką.

- Przyjęty? – zapytał.

- Tak – skinąłem głową. – Masz mnie poinstruować.

- A więc tak. Po dotarciu na miejsce idziesz z dziewczyną do klienta. Gościu płaci tobie z góry. Zapłaci za godzinę, wracasz do samochodu, a po godzinie pukasz i pytasz czy już koniec, czy przedłużyć. Jak przedłużyć to znowu płaci z góry. Jasne?

- Jasne. A jak nie będzie chciał zapłacić?

- Jak to nie będzie chciał zapłacić? – obruszył się ochroniarz. – Od tego tam jesteś, żeby zapłacić! Jak nie chce wyjąć kasy to lejesz po ryju, mordę w kibel i zapłaci.

- A jak się zamknie i mnie nie wpuści?

- W tylnym bagażniku jest łom. Wyważasz drzwi łomem i działasz. Jasne?

- Jasne!

Na korytarzu pojawiła się szczupła długowłosa blondynka.

- O jest Mariola – zauważył ją muskularny pracownik agencji. – Chodzi tutaj Mariola. Pojedziesz z panem.

- Ryszard – przedstawiłem się.

- Nie czas na konwenanse! Czas nagli. Poznacie się w samochodzie – ponaglał pracownik ochrony. – Klient czeka!

„Ale tu pośpiech. Nerwówka jak w każdej robocie” – myślałem zbiegając po schodach. Za mną biegła panienka. W butach na wysokim obcasie prezentowała się pięknie. Była superlaską. W samochodzie zapytałem ile bierze za godzinę.

- Tysiąc złotych – odpowiedziała. A po chwili dodała. – Wiesz co, nie obraż się ale od ciebie cuchnie.

- Cuchnie? - zawstydziłem się. Faktycznie dawno się przecież nie kąpałem. Ciuchy też nie prane od tygodnia. Ale człowiek zszedł na dziady. – Muszę w tej robocie zarobić na mydło – wyjaśniłem czerwieniąc się na policzkach.

- Nie masz nawet na mydło?

- Nie.

Spojrzała ze zdumieniem.

- Wszystko przepite co do grosza – wyjaśniłem – Myślisz, że zatrudniłbym się jako alfons gdybym miał kasę?

Wyjęła portmonetkę z torebki i wyciągnęła z niej banknot stułotowy.

- Masz tu na mydło. Następnym razem przyjdź do pracy czysty i pachnący.

Aż mnie zamurowało. Z jednej strony urażona ambicja a z drugiej taka pomoc z jej strony. To już nawet w mojej firmie wielkiej międzynarodowej korporacji nikt by nie zaferował takiej pomocy. A tutaj proszę zwykły burdel a ludzie tacy wyrozumieli.

- Dzięki. Oddam jak tylko zarobię – powiedziałem chowając banknot do kieszeni.

Zajechaliśmy pod wskazany adres na Pragę. Klient mieszkał na drugim piętrze. Wyszliśmy po schodach do góry. Zapukałem do drzwi. Po chwili pojawił się w nich wysoki brodaty mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Rzucił okiem najpierw na dziewczynę a później na mnie. Człowiek ten nie spodobał mi się już na pierwszy rzut oka.

- Na ile godzin? – zapytałem

- Jedną

- Płatność z góry. Należy się tysiączek.

Mężczyzna wszedł do mieszkania i po chwili wrócił z plikiem banknotów. Przeliczyłem. Kwota się zgadzała.

- W takim razie znikam i będę tutaj za godzinę. Gdyby się pan zdecydował na przedłużenie proszę przygotować kolejny tydzień.

- W porządku – skinął głową.

Zszedłem na dół i zamknąłem się w samochodzie. Praga to niebezpieczna dzielnica. Trzeba uważać. Kątem oka obserwowałem okna w mieszkaniu klienta. Nie działo się tam nic specjalnego. W sumie nawet bardzo spokojna praca. Nie spodziewałem się tego po tej branży.

Godzina szybko zleciała. Spojrzałem na firanki i miałam wrażenie jakbym usłyszał zduszony krzyk przez uchylone okno. Zaniepokoiło mnie to. Wybiegłem z samochodu i popędziłem po schodach na drugie piętro. Zastukałem do drzwi. Mężczyzna nie otwierał.

Walnąłem z buta i parę razy z pięści. Dalej nic! Trzeba ratować dziewczynę! Nie wiadomo co on z nią robi? Może biedna już nie żyje? Ten gość od razu mi się nie podobał! Zbiegłem prędko do samochodu po łom. Wydobyłem to ciężkie narzędzie z bagażnika i znalazłem się spowrotem pod drzwiami. Włożyłem łom w szparę i

pociągnąłem co sił. Drzwi aż zatrzeszczały. Ale nie puściły. Ładuje więc jak taranem po zamku. Klamka już się urwała. Drzwi trzeszczą. W końcu zamek puszcza i spada na ziemię. Kopniakiem otwieram drzwi i wchodzę do mieszkania. Patrzę i widzę, że panienka jest przykuta kajdankami do kaloryfera i zakneblowana. Patrzy na mnie z przerażeniem. Krzyczy coś niezrozumiałego. Widzę, że gościu wychodzi z łazienki w szlafroku. W uszach ma słuchawki więc nie słyszał łomotu. Stoi do mnie plecami. O psiakrew! Już ja go załatwię. Łup! Dostał łomem w łeb! Pada na ziemię. I poprawka. Po plecach, po nogach! Jeszcze raz w łeb!

Dziewczyna wrywa knebel.

- Przestań! Zabijesz go! – krzyczy.

- Przecież to zboczeniec! Uwięził cię! – rzuciłem łom na podłogę. – Zaraz cię uwolnię.

- Idioto! To jest sado-macho. Zgodziłam się na to. On za to płacił!

- Jak to? – zdębiałem. – Popatrzyłem na leżącego na podłodze delikwenta. Pochyliłem się i złapałam go za nadgarstek. Wyczułem tętno.

- Żyje! – spostrzegłem z ulgą. - Zabierajmy się stąd!

Właściciel burdelu nie krył niezadowolenia z mojego zachowania. Był to jednak człowiek nad wyraz spokojny i wyważony. Kiedy minął pierwszy gniew powiedział:

- Z jednej strony straciliśmy ważnego klienta, ale z drugiej okazuje się, że jest z ciebie dobry pracownik. Duże zaangażowanie, odwaga i skuteczność. Tylko jakby to powiedzieć... - wahał się - z edukacją seksualną jesteś pan na bakier – sięgnął do szuflady w biurku i wyjął z niej gruby plik czasopism pornograficznych. – To ma być do jutra wyklepane na blachę. Będę pytał na wyrwyki!

- No to długa nieprzespana noc przede mną - rzekłem biorąc do ręki czasopisma.

- Mógłbym cię zwolnić ale po co? Lepiej wyszkolić, wytrenować. W dzisiejszych czasach trudno o dobrego alfonsa...

Noc upłynęła mi na przeglądaniu czasopism pornograficznych. W głowie się nie mieściło czego też ludzie nie wymyśla. Pozycje takie, że aż człowiekowi z wrażenia mózg się lasuje. Nad ranem trzęsły mi się ręce. Byłem niewyspany i rozdrażniony w powodu nadmiaru wrażeń i sfrustrowany z powodu braku możliwości rozładowania napięcia seksualnego. Idąc ulicą wpatrywałem się w kobiety i w wyobraźni robiłem z nimi wszystkie te rzeczy, które widziałem w pornosach. Ach jakbym dorwał taką jedną!

Za stówę otrzymaną od Marioli kupiłem mydło i dezodorant. Ponieważ nie miałem domu bieżącej wody poszedłem się wykąpać w rzece. Wymyłem się dokładnie w letniej wodzie, popsikałem dezodorantem i założyłem ubranie. Ale cóż to?! Śmierdzi, cuchnie. Teraz kiedy się wykąpałem dopiero poczułem jaki bije z niego odór!. Nie będę w tym chodził! Muszę wyprać. Pogoda ładna więc wyschnie do wieczora.

Wyprałem więc całą odzież i rozwiesiłem na gałęziach drzew. W południe słońce świeciło już mocno. Wiał łagodny wiatr. Warunki idealne do schnięcia. Położyłem się więc w cieniu i zdrzemnąłem po nieprzespanej nocy. Po południu dopadł mnie głód. Nie jadłem już parę dni. Ubranie wciąż było mokre i nie mogłem się nigdzie ruszyć. Na szczęście miałem zapalki. Upiekłem więc parę żab na ognisku i ugotowałem rosół z

kijanek przyprawiony dziko rosnącym chrzanem. Wszystko to prawdę powiedziawszy smakowało ohydnie, ale po kilku dniach głodówki smak jedzenia nie jest już taki istotny.

Po wieczór wyszło ubranie. Wykąpałem się jeszcze raz i popsikałem dezodorantem. Założyłem czyste ciuchy. Poczułem się jak młody bóg. Jakbym odmłodził dziesięć lat i zrzucił z pięć kilo. To teraz czysty, pachnący, najedzony to ja mogę iść do roboty!

W pokoju Romana pojawił się nowy nabytek – klimatyzator. Lekkie powiewy wiejącego z tego urządzenia wiatru poruszały kartkami magazynów pornograficznych, które położyłem na biurku.

- Jak nazywa się seks kiedy kilku gości obraca jedną panienkę? – pytał Roman.

- Gang Bang.

- Bardzo dobrze – pochwalił. – A kiedy panienka sika na gościa?

- Szalet.

- Co?! – krzyknął.

- Żartowałem Złoty deszczyk. A po angielsku „pis” – uspokoiłem go.

- No – schował do szuflady kolorowe czasopisma. – Teraz możesz jeździć do klientów. Zuch chłopak! – zapalił papierosa i podał mi kolejne zlecenie: - Pojedziesz teraz na ulice długą trzy przez trzydzieści trzy i odbierzesz dziewczynę od klienta. Śpiesz się. Masz tylko piętnaście minut – wyłączył wiatrak który zaczął robić burzę w małym pokoiku. – Aha. Łom zostaw w firmie. Tak na wszelki wypadek.

Gdzie podziały się te cholerne kluczyki do samochodu. Szybko, szybko. Szefu znowu się wkurzy jak nawalę. Gdzie one są? Może wypadły gdzieś nad rzeką. Jedna kieszeń, druga kieszeń. Nie ma! Pewnie są w domu albo nad rzeką. O kurcze są zawieszona na szyi. Uff! Przecież dopiero co je wzięłem od Romana! Przez te nerwy całkowicie tracę kontrolę nad tym co się dzieje. Ale się zestresowałem. Jazda szybko po panienkę. Jaki to był adres? Długa trzydzieści trzy przez trzy. Naprzód!

Podjechałem pod wskazany adres spóźniony o jakieś pięć minut. Jeszcze w normie. Wszedłem do bloku i wyjechałem widna na trzecie piętro. Numer trzydzieści trzy znajdował się na końcu korytarza. Zastukałem do drzwi. Otworzył je obnażony mężczyzna z promiennym uśmiechem na twarzy. Na mój widok zawołał:

- Koledzy patrzcie jaką nam tutaj chuda szkapę przysłali. Więcej z tej agencji już nie bierzemy!

- E tam. Dawaj go tutaj! Wąski w pasie dobrze pcha się.

Z drzwiami zobaczyłem kilku pijanych mężczyzn.

- Panowie to pomyłka! Ja tutaj po panienkę przyjechałem!- próbowałem wyjaśnić.

- Sam jesteś panienka!

Wyglądało na to, że trafiłem na bandę pedałów! Ratunku!

- Co się drzesz męska dziwko! Przecież za wszystko ci zapłacimy! – wołał wielki dryblas ściągając spodnie.

Po trzech godzinach kompletnie zmaltretowany i upokorzony resztkami sił wsiadłem do samochodu i ze zmęczenia omdlałem. Ocknąłem się prawie nad ranem. Obolałe ciało,

piekący odbył przypomniały mi o wydarzeniu sprzed kilku godzin. Wygląda na to, że zaszła fatalna w skutkach pomyłka. Kazali mi jechać na długą trzydzieści trzy przez trzy a ja pojechałem na długą trzy przez trzydzieści trzy. Widoczne ci goście czekali na kogoś z pedalskiej agencji a przyjechałem ja! Tak czy inaczej miałem dość tej roboty. Pracuje dopiero drugi dzień a już tyle nerwów stresu, wstydu i upokorzenia. Po pół godzinie zajechałem do firmy i wszedłem do pokoju Romana.

- Zwalniam się – powiedziałem krótko kładąc na biurko kluczyki od samochodu.
- Dostaniesz podwyżkę! Stowa za kurs! – wołał właściciel agencji.
- Nie chcę!

* * *

Leżałem w domu na podłodze i patrzyłem w sufit. Podsumowując co zdarzyło się przez ostatnie pół roku, czyli próbę zmiany stylu życia trzeba ten okres określić mianem kompletnej klapy a nawet rujnacji dotychczasowego życiowego dorobku. Nie nadaje się ani na pijaka ani na alfonsa. Po zdarzeniu na ulicy Długiej, gdzie przez pomyłkę wzięto mnie za chłopca z agencji dostałem nasilonych stanów lękowych i ze strachu w ogóle nie wychodziłem z domu. Obawiałem, się że taka niemiła przygoda może mnie spotkać tuż za rogiem.

W tym czasie dużo myślałem. Stwierdziłem, że w zasadzie skoro pracując dla kogoś nie czułem się szczęśliwy, to może najwyższy czas aby założyć swoją firmę? Kiedy jak nie teraz? Z pieniędzy, które dostałem od Marioli zostało mi jakieś osiemdziesiąt złotych. Kapitał na otwarcie firmy znikomy, ale przecież nie miałem zamiaru zakładać korporacji tylko mały lokalny biznesik. Poczuję niesamowity zapał do realizacji swojego pomysłu. W ciągu tygodnia krążąc po bazarach zakupiłem niezbędny sprzęt, dałem ogłoszenia w prasie i zamieściłem szyld w bramie budynku. Kupiłem najtańszą białą farbę i pomalowałem ściany mieszkania. Siedziba firmy musi się przecież jakoś prezentować. Inaczej nikt nie będzie ze mną rozmawiał.

Pracę rozpocząłem w poniedziałek o dziewiątej rano. Usiadłem na krześle wyłożyłem nogi na parapet i obserwując otoczenie domu oczekiwałem na przybycie pierwszego klienta. Minęła godzina, dwie. Zaczęły mi cierpnąć nogi i tyłek a tutaj nic! Już nabierałem powietrze w płuca by zaśpiewać piosenkę „Znowu w życiu mi nie wyszło...” kiedy rozległ się dźwięk dzwonka. Zerwałem się z krzesła i bijącym sercem, mocno podekscytowany otworzyłem drzwi. W progu ujrzałem swego starego znajomego sprzed pół roku - Mariana specjalistę od kanalizacji miejskiej z którym piłem w sadzie całą wiosnę i lato.

- O to pan? – zdumiał się na mój widok.
- No ja, ja. Zapraszam do środka.
- A myślałem, że pracuje pan jako redaktor.
- Etam redaktor to tylko dodatkowa fucha to jest moja główna praca.
- Aha. No chyba że tak.

Marian wyglądał na wyjątkowo przygnębionego. Coś trapiło tego mężczyznę i to mocno. Zaprosiłem go do środka i siadając na krześle powiedziałem:

- Panie Marianie, pan się położy na kozetce – wskazałem ręką na mebel kupiony na bazarze za pięćdziesiąt złotych. Kozetka zatrzeszczała pod ciężarem otyłego mężczyzny – Co pana do mnie sprowadza? – zapytałem.

- A widzi Pan panie Ryśku ostatnio wpadłem w jakąś depresję, czuje złość nie wiadomo dlaczego, jakieś lęki i napięcia. Dawniej tego nie miałem. Pojawiło się tak znikąd...

- Spokojnie. Wszystko ustalimy co się z czego bierze – odpowiedziałem pewnym tonem rozpięając się wygodnie na krześle. W końcu to ja byłem teraz panem sytuacji. – Czy może mi pan powiedzieć coś o swoim dzieciństwie?

Marian opowiadał i wszelkich swoich urazach i krzywdach jakich doznał od rodziców kiedy był dzieckiem i od pracodawców teraz w obecnej chwili życia. Słuchałem uważnie z głębokim namysłem i nie przerywałem jego monologu przez całą godzinę. W końcu gdy czas wizyty zbliżał się ku końcowi oznajmiłem:

- Rzeczywiście nie miał pan lekko w życiu. Z tego co tutaj słyszałem powiem tak: koniecznie trzeba rzucić palenie i nie pić czerwonego wina tylko białe. Co się tyczy wódki to wszystkie kolorowe odpadają. Tylko czyściocha. Ewentualnie wiśniówka. Jak będzie się pan tego trzymał objawy powinny ustąpić.

- I tylko tyle?

- A co by pan chciał więcej?

- No myślałem, że jakieś leki albo nawet szpital.

- E gdzie tam. Nie jest tak źle – otworzyłem kalendarz i przerzuciłem kilka kartek udając, że szukam wolnego terminu. – To co widzimy się za tydzień?

-Tak – potwierdził.

- Świetnie. Należy się stóweczka.

Mój pacjent wyjął z portfela sto złotych i położył je na biurku. W końcu pierwsze uczucie zarobione pieniądze od roku. Odprowadziłem Mariana do drzwi.

- Ależ mnie pan doktor pocieszył! Wystarczy tylko rzucić palenie, pić wyłącznie czyściochę i wszystko ustąpi. A ja się już tak martwiłem. Już po pierwszej wizycie czuje się znacznie lepiej – mówił rozpromieniony.

- Bardzo się cieszę i życzę miłego dnia. – odpowiedziałem.

- Do widzenia! – powiedział stary znajomy wesół jak skowronek.

- Do widzenia! – zamknąłem drzwi. Już po tym pierwszym spotkaniu odkryłem w sobie taki talent terapeutyczny, że dziwiłem się sam sobie iż wcześniej nie zdecydowałem się na taki zawód. Pomyśleć sobie, że nie wiele brakowało a zostałbym alfonsiem...

Za zarobione pieniądze zamówiłem sobie pizzę z szynką i ananasem. Zakład był po drugiej stronie ulicy więc wystarczyło tylko wychylić się przez okno i krzyknąć. Zjadłem zaledwie dwa kawałki pizzy kiedy po raz drugi w dzisiejszym dniu rozległo się pukanie do drzwi. Schowałem placek do szafki i wyszedłem na korytarz. Po otwarciu drzwi oczom moim ukazał się pan Roman – właściciel agencji towarzyskiej w której przez chwilę pracowałem. Widząc mnie osłupiał.

- To pan żeś jest psychoanalitykiem? – patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- A tak to mój zawód – potwierdziłem.

- To czemu pan się u mnie zatrudnił?

- Tu chodziło o zakład z kolegą – zbyłem jego pytanie. – A co tam w firmie słychać?

- A panie, wszystko się wali. – mówił kładąc się na kozetce. – Konkurencja działa co raz mocniej. Dziewczyny chcą podwyżki. Ledwo na haracz dla mafii wystarcza.

- Aha. No ten biznes nie jest łatwy – usiadłem na krześle i spojrzałem na pacjenta. – A z czym pan do mnie przychodzi?

- Bezsenność panie doktorze. Nie śpię po nocach. Gonitwa myśli. Biorę prochy, zapijam alkoholem, robie ćwiczenia fizyczne i dalej nic. Jestem już wyczerpany.

- A o czym pan myśli?

Zastanowił się przez chwilę i odparł.

- W zasadzie to nawet ciężko powiedzieć bo tych myśli są tysiące. Tak więc mimo, że myślę całą noc to nad ranem trudno mi ustalić o czym tak naprawdę myślałem.

- Oj to już trochę poważniejszy przypadek – pokiwałem z głową z z troskaniem. – Ale porozmawiajmy o pana dzieciństwie. Czy może pan opowiedzieć jak pana traktowali rodzice?

Właściciel agencji ochoczo przestąpił do tej czynności. Żywo gestykując opisywał mi swoje dzieciństwo rok po roku. Tak jak poprzednio nie przerywałem, a gdy czas wizyty się kończył odezwałem się:

- Według mnie pańscy rodzice otaczali pana nadmierną opieką i teraz robi pan to samo z dziewczynami w agencji a to wyzwala w panu wiele napięć emocjonalnych. Myślę, że powinien pan zmienić zawód i zamiast troszczyć się o panienki na przykład strzelać do ludzi. To byłaby taka terapia na zasadzie odreagowania.

- Jak to strzelać do ludzi? A co to ja bandyta jestem? – oburzył się.

- Na przykład jako żołnierz. Może pan legalnie strzelać i zabijać.

- Czy to jest konieczne? – pytał z drżącym głosem.

- Sam pan widzi...

- Ech no dobrze – rzekł sięgając po portfel – Zastanowię się nad tym jeszcze. To co pan mówi jest że tak powiem kontrowersyjne. Ile się należy?

- Stóweczka.

- Zapłacę panu pięćdziesiąt złotych dziś i drugie pięćdziesiąt kiedy sprawdzę i stwierdzę, że to działa.

- W porządku możemy się tak umówić.

- No dobrze – wstał z kozetki i ciężkim krokiem powlókł się do wyjścia.

- To co umawiamy się za tydzień? – zapytałem biorąc do ręki kalendarz.

- Nie wiem. Zastanowię się. Jak się zdecyduje to zadzwonię

- Rozumiem. W takim razie do widzenia.

- Do widzenia.

Wyjąłem zimną już pizzę z szuflady i zacząłem ją jeść. Żując kawałki ciasta myślałem o nowej profesji. W sumie najprzyjemniejszy zawód jaki kiedykolwiek miałem. Tyle ciekawych rzeczy z życia ludzi można się dowiedzieć, że mogę dodatkowo pisać jakieś poradniki w czasopiśmie dla gospodyń domowych. Nie zjadłem nawet połowy pizzy gdy rozległo się pukanie do drzwi „Co ten naród taki zestresowany – dziwiłem się – człowiek nawet nie może spokojnie zjeść”.

Otworzyłem drzwi. W progu stała wielka butelka piwa. To znaczy taki człowiek-reklama przebrany za butelkę. Tym razem to ja się zdziwiłem!

- Przepraszam, że tak w ubraniu roboczym, ale akurat mam okienko w pracy – dobiegł ze środka przytłumiony głos.

- Nie ma problemu. Zapraszam do środka.

Człowiek reklama z trudem zmieścił się w drzwiach.

- Zaraz to z siebie zrzucę. – mówił idąc korytarzem. – Nie mogłem tego zdjąć na zewnątrz bo na pewno by mi ukradli. A ile pan bierze za godzinę?
- Sto złotych – odpowiedziałem. „Co za materialista” – pomyślałem – „jeszcze dobrze nie wszedł a już pyta ile za godzinę”.
- Człowiek reklama zdjął z siebie strój i zasapany usiadł na krześle.
- Nie, nie! – zaprotestowałem – Krzesło jest dla mnie. Proszę położyć się na kozetce.
- W porządku. To tak z przyzwyczajenia – wyjaśnił wstając z krzesła.
- Spojrzałem na niego i zdumiałem się. Przecież to był mój psychoanalityk!
- Proszę pana, to ja Ryszard pana pacjent! Nie poznaje mnie pan? – Zawołałem rozentuzjasmowany.
- Popatrzył na mnie zaskoczony. Bezwiednie podniósł się z kozetki.
- A to pan.... Faktycznie... Nie poznałem... - rozejrzał się dookoła wyraźnie zdezorientowany – To może ja już sobie pójdę...
- Nie no skądże. Niech pan mówi co tam u pana słychać? Dlaczego zatrudnił się pan jako człowiek reklama piwa?
- A widzi pan do mnie to pół miasta chodziło na psychoanalizę. Efekty były mierne. W końcu pacjenci naciskać. Pod oknem gabinetu zbierały się skandujące tłumy „zdrowie albo zwrot pieniędzy!” Zaczęło dochodzić do rękoczynów. Zamknąłem więc gabinet i byłem zmuszony poszukać innej pracy. A że zna mnie pół miasta to zatrudniłem się w reklamie i noszą te butelkę. W tym przebraniu nikt mnie nie pozna.
- Świetny pomysł! – pochwaliłem. – A co pana do mnie sprowadza?
- Jak się okazuje pomysł wcale nie taki najlepszy bo już po dwóch tygodniach noszenia tej butelki zacząłem odczuwać lęki związane z klaustrofobią. Napady paniki, zimne poty i duszności. Chciałbym to wyleczyć bo tak pracować się nie da.
- Ależ tutaj rozwiązanie jest bardzo proste! – oparłem. – Wcale nie trzeba tego leczyć tylko po prostu zmienić pracę.
- Jak to zmienić pracę? – zdumiał się psychoanalityk. – Są objawy, trzeba leczyć!
- A skądże! Chodzi o to żeby ich nie czuć, a więc unikać sytuacji, które je powodują.
- A to jakaś nowa szkoła...
- Bardzo skuteczna – powiedziałem wstając z krzesła. Psychoanalityk siedział cały czas na kozetce jak oszołomiony. Leczy go jego własny pacjent! – Pan po prostu potrzebuje takiej pracy w której nie ma zbyt dużego kontaktu z ludźmi ale jest ruch, akcja coś się dzieje.
- No ale co to może być za praca?
- Na przykład kierowca śmieciarki – odpowiedziałem.
- Kierowca śmieciarki?
- Praca głównie nocą a więc żaden były klient pana nie zobaczy. No i non stop coś się dzieje. Co kawałek trzeba podjeżdżać i cofać.
- No ale tam śmierdzi!
- Ale pieniądze nie śmierdzą.
- Faktycznie. Przemyślę ten pomysł – wstał z kozetki i podszedł do swojego przebrania. – Gdzieś tutaj miałem portfel.
- Spokojnie. Byłem panu winny stówę.
- No tak. Teraz jesteśmy kwita. Do widzenia!
- Do widzenia!

Nawet nie pytałem, czy chce się zapisać na kolejną wizytę. W przeciwieństwie do reszty terapeutów nie dawałem prostej recepty na życie. Ludzie sobie myślą, że wystarczy wydreptywanie ścieżek do psychoterapeutów, a tutaj tymczasem trzeba zmieniać swoje życie. Przykładowo pracowałem jako psychoanalityk tylko pięć godzin a już czułem się świetnie i nie zmęczony się zupełnie zarobiłem sto pięćdziesiąt złotych i zwróciłem stówę długu.

* * *

Dobrze mi szło w tym zawodzie. Klienci zaczęli przychodzić co raz częściej, niektórzy nawet wracali. Dzwonek nie rzadko rozbrzmiewał po kilkanaście razy dziennie. A każdy jego dźwięk oznaczał potencjalną stówę w moim portfelu. Finanse były bardzo ważne bo musiałem doprowadzić do porządku swoje ogołocone z mebli mieszkanie.

Po sześciu miesiącach funkcjonowania na rynku, stać mnie było na wykupienie dwuosobowej wycieczki na Majorkę. Z kim tam poleciałem? Oczywiście z Mariolą! A ona tania nie była...

Po powrocie znalazłem w swojej skrzynce na listy pocztówkę ze zdjęciem Kabulu. Na odwrocie widniał stempel w egzotycznym języku oraz odręcznie napisany tekst:

*Serdeczne pozorowania z misji w Afganistanie przesyła Roman.
Razem ze swoimi towarzyszami broni chronimy świat przed Talibami i czasami ostro się z nimi strzelamy. Dostałem order za odwagę i awans na dowódcę patrolu. Jest mi tutaj dobrze. Do burdelu na pewno już nie wracam!*

Serdecznie pozdrawiam

*Roman
Dowódca patrolu*

Nie zdążyłem nawet się rozgościć w gabinecie kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem i ujrzałem przed sobą listonosza.

- List do pana, panie doktorze – powiedział otwierając torbę. – Zwykły.
- Dziękuję – odebrałem z jego rąk kopertę. Wszedłem do gabinetu, rozerwałem ją i zacząłem czytać:

Szanowny Panie Ryszardzie,

Z tej strony Marian ten co pił Pan wódkę w sadzie. Bardzo się cieszę, że do Pana doktora przyszedłem pół roku temu bo to mnie naprowadziło na nową lepszą drogę życia. Zgodnie z zalecaniem, piłem tylko czyściochę i wiśniówkę, ale źle się po tym czułem. Postanowiłem, że całkiem rzucę picie. Nie piłem przez tydzień i stwierdziłem, że to bardzo fajny stan być trzeźwy. Wpadłem na pomysł, żeby założyć ośrodek odwykowy. Teraz prowadzę taki ośrodek o nazwie „Żuraw” (bo żuraw polując stoi na jednej nodze co jest dla nas symbolem trzeźwości). Klientów znalazłem wśród swoich znajomych i jest ich około trzystu.

Serdecznie dziękuję za wskazanie nowej drogi życia i załączam czek na dziesięć tysięcy złotych w podziękowanie za trafioną poradę.

*Z poważaniem
Marian
Dyrektor Zarządzający*

„Niech to licho ale się wiedzie Tm moim pacjentom. Chyba podwoje stawkę skoro jestem taki skuteczny” - pomyślałem sobie. Wieczorem wyszedłem na taras, położyłem się na hamaku i popijając dzin z tonikiem patrzyłem w gwiazdy. Była bezchmurna noc i na sklepieniu niebieskim widać było całą masę mrugających gwiazd. Zauważyłem, że jedna z nich miga znacznie częściej niż pozostałe i rzekłbym, że miga w moją stronę. Być może to miganie zawiera jakiś przekaz i da się je odkodować za pomocą alfabetu Morsa? W wojsku służyłem w łączności i alfabet Morsa znałem bardzo dobrze. Przyniosłem z domu długą latarkę i skierowawszy snop światła ku gwiazdzie, nadałem sygnał iż jestem gotowy do odbioru przekazu. W tym momencie gwiazda zaczęła rozbłyskiwać intensywniej. Rozszyfrowywałem kod Morsa.

DZIEN DOBRY PANIE RYSZARDZIE. STOP. TUTAJ PANA PYSYCHOANALITYK. STOP. NADAJE Z ZAŁOGOWEGO POJAZDU KOSMICZEGO W DRODZE NA MARSJA. STOP. BIORĘ UDZIAŁ W MIEDZYNARODOWEJ MISJI KTÓRA MA NA CELU BADANIE STRESU ZWIĄZANEGO Z DALEKA ODLEGŁOSCIA OD DOMU. STOP. ZNOWU MAM SWOICH PACJENTÓW. STOP. ŻYCZE POMYSLNOSCI I DO DOBACZENIA PO MOIM POWROCIE NA ZIEMIĘ. STOP.

„No proszę. Temu też się powiodło” – podsumowałem w myślach. Bo najważniejsze to jest to, żeby się znaleźć w z odpowiednimi umiejętnościami w odpowiednim miejscu i czasie. A taką sytuację trzeba sobie wypracować. W tę noc zasnąłem na hamaku. Rankiem obudziłem się rześki i wypoczęty gotowy na przyjęcie kolejnej fali sukcesów tego słonecznego dnia.

Koniec

